

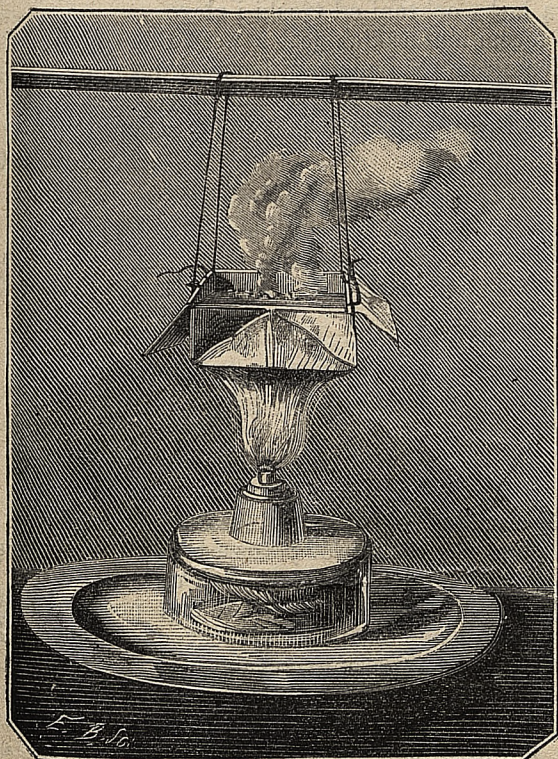


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Rysunek nasz przedstawia sposób ugotowania wody w krubeczce papierowej, zrobionej sposobem powszechnie znanym

ze zwyczajnego, prostego papieru. Przedewszystkiém jednak prosimy wszystkich czytelników najusilniej, aby nie brali się do tego doświadczenia bez pomocy jakiejs osoby starszej, gdyż z ogniem, a zwłaszcza z lampą spirytusową zawsze bardzo ostrożnie obchodzić się trzeba. Nigdybyśmy sobie tego nie darowali, gdyby nasze doświadczenie miało się stać powodem jakiego smutnego wypadku. Póki więc ktoś z domowych, umiejący sobie dać radę z taką lampą nie zechce wam dopomódz i wykonać wszystko z należytą ostrożnością, po przestaniu na naszym opisie i uwierzcie na słowo, że doświadczenie podobne jest możliwe, a jakim sposobem, to wam wyjaśnimy.

Każdy wie o tém, że garnek próżny nie może stać na ogniu lub blasze gorącej, bo z pewnością pęknie, nawet i najmocniejszy rondel przypala się i psuje od tego, a już co samowar, to natychmiast niezawodnie się rozlutuje, jeżeli tylko wody w nim zabraknie, podczas gdy węgiel w kominie się żarzy. Dlaczegoż jednak toż samo gorąco nie nie szkodzi naczyniom, gdy zawierają w sobie choć trochę wody lub innej cieczy? A ta woda, która zabezpiecza garnek, rondel, samowar, może nawet i krubeczkę papierową ochronić od spalania. Gdybyśmy papier przytknęli na sucho do ognia, spłonąłby w jednej chwili, woda go ocala.

Nim wyjaśnimy przyczynę tego szczególnego zjawiska, zastanówmy się najpierw, co to jest właściwie ciepło. Dawniej wyobrażano je sobie, jako płyn nadzwyczaj nikły, nieujęty, które przejmując każde ciało nawskroś, jakby się w niem rozlewał, i przechodzi z jednych ciał na drugie. Rzeczywi-



ście tak się na pozór wydaje; gdy naprzykład rękę trzymamy przy piecu, doznajemy takiego uczucia, jakgdyby coś ciepłego do niej wchodziło, a gdy dotkniemy przedmiotu zimnego, możnaby znów sądzić, że to coś, to dziwne uczucie ciepła, odpływa z ręki.

Wszak nie potrzebujemy powtarzać czytelnikom naszym tego, o czém opowiadaliśmy już tyle razy, że żadne ciało nie jest masą zupełnie ścisłą, lecz każde, najtwardsze nawet, składa się z niezmiernego mnóstwa drobniejszych, niedojrzałych cząsteczek, nie stykających się z sobą. Ponieważ trudno sobie wyobrazić, aby te odstępy między cząsteczkami były zupełnie próżne, więc uczeni powiadają, że je wypełnia płyn jakiś nadzwyczaj nikły, nieważki, to jest nie mający wcale ciężaru, a płyn ten, chociaż go nikt nie widział i widzieć nie może, nazwano eterem. Otóż wyobraźmy sobie, że ten eter porusza się, drga niezmiernie szybko, a ztąd powstaje ciepło i światło. Drganie eteru udziela się cząsteczkom ciał i ogrzewa je, a posuwając się coraz dalej, sprawia takie wrażenie, jakgdyby to płyn jakiś się rozlewał.

Pamiętacie zapewne, co to jest trojakić skupienie ciał. Woda przedstawia najlepszy przykład tego fizycznego zjawiska; gdy zamarznie, jest wówczas ciałem stałym, lodem, przy zwykłym cieple letniem cieczą, wodą, a przy silniejszym ogrzaniu parą, ciałem lotnym. Otóż trzeba wiedzieć, że każde ciało, przechodząc ze stanu stałego w ciekły, lub z ciekłego w lotny, pochłania bardzo wiele ciepła, tak prawie, jakgdyby je połykało. I tak: gdy woda się gotuje, para, ulatująca z niej w powietrze, wciąga w siebie ciepło, chwytając je gwałtownie i tym sposobem w miejscu, gdzie się para wytwarza, musi ciągle ciepła ubywać, więc ani woda wrząca, ani naczynie, w którym się ta woda mieści, od ognia zbyt szybko się rozgrzać nie może. Ciepło ze ścian naczynia szybko przechodzi do wody, a tu nieustannie chwytając je para, póki tylko woda się gotuje.

Czy uwierzycie, że gdy rondel z wodą wrzącą podniesie się z blachy, można palec do dna jego przytknąć bez oparzenia, bo dno to nie jest zbyt szybko rozgrzane, tak gwałtownie woda parująca chwytając i pochłaniając ciepło. Lecz w minutę po zdjęciu rondla z ognia nie radzimy doń palca przykładać, jak tylko woda gotować się przestanie, zaraz się dno silnie rozpali. Można znów na odwrót zimną wodę ogrzać, wprowadzając do niej parę za pośrednictwem rury, bo para przy skraplaniu się, gdy przechodzi ze stanu lotnego w ciekły, wydzielając z siebie też samą ogromną ilość ciepła, którą wprzód pochłonęła.

Każdy wie o tém, że latem po deszczu powietrze się odświeża. To jest także skutek parowania wody deszczowej, która w letniej porze szybko się ulatnia, a przytém dużo ciepła pochłania, ztąd powstaje przyjemny chłód w powietrzu. Gdy wyjdziemy z kąpieli, czujemy zimno w całym ciele, chociaż powietrze jest ciepłe. Dlatego to zalecają, aby się szybko po kąpieli z wilgoci obetrzeć, bo woda parująca zabiera nam ciepło z ciała i tém je oziębia.

Są pewne cieczy, które się ulatniają daleko gwałtowniej od wody. Gdy parę kropel takiej oziębiającej cieczy nalejemy na rękę, czujemy w tém miejscu chłód dotkliwy, jakgdyby to był kawałek lodu. Ciecz szybko się ulotni, a ręka pozostaje sucha i przemarznięta. Za pomocą takich cieczy, które pochłaniają gwałtownie ciepło, można wodę zamrozić

wśród lata, to też tym sposobem robią sztuczny lód w przyrządach, umyślnie do tego przeznaczonych.

A teraz wróćmy do naszego doświadczenia. Krubeczek papierowa, wodą napełniona, zawieszona się za pomocą sznurków na linii drewnianej, i trzyma się nad płomieniem lampy spirytusowej. Trzeba tylko dobrze pilnować, ażeby odgięci rogi, niestykające się z wodą, do płomienia się nie dostały, bo spłonęłyby odrazu. Dno doskonale jest zabezpieczone, woda szybko pochłania ciepło i papier tam niema czasu rozgrzać się o tyle, aby się zapalił. Lecz powtarzamy raz jeszcze: ostrożnie z ogniem!

## DZIEŃ DOBRY!

Dzień dobry ci, słonko, co wstajesz tak rano,  
Dzień dobry, ptaszyno, co witasz to słońce,  
I tobie, kwiateczku, co rośniesz na łące,  
I tobie, robaczku, co gdy koszą siano,  
Ty swemi swemi skokami zabawiasz kosiarzy.  
Dzień dobry ci, pszczołko, co śpieszysz do lasu,  
By słodki miód garnać, a wrócić zawczasu,  
Póki się słoneczko promieniem swym żarzy.  
Dzień dobry, pająku, co rzucasz swe nici  
Na pola, na łąki, na kwiaty i zioła,  
A czasem mi zwiśniesz na włosach u czoła,  
Srebrząc je, dopóki wiatr nitki nie chwyci.  
Dzień dobry, dzień dobry, co żyje, co rośnie,  
Do Boga śląc modły i nieme westchnienia,  
Jak umie, jak może, składając swe pienia,  
Dzień dobry, dzień dobry, wołam ja radośnie;  
Lecz pierwsze dzień dobry zasylam do Tego,  
Co i mnie sierocie, i mnie też dał życie  
Bo On mnie przygarnie, jak swoje, jak dziecię,  
Swą łaską ochroni od troski i złego.  
Bo ojcem małuczkich jest zawsze Bóg dobry,  
Więc ojcem On będzie, oj będzie i dla mnie,  
Położy na czołe sieroty swe znamię,  
Więc Bogu najpierw ja wołam: dzień dobry!

Z. Morawska.

## ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M...a

(Dalszy ciąg).

Trzój ci malcy okrutnie się rozzłościli, a gdy na tę ostatnią ich pogróżkę cały dwór jeszcze bardziej śmiać się z nich zaczął, tedy już prawie, że gniew ich unosił. Wtém pan Jęśko z Dębinki, przetańczywszy ze mną, posadził mię na należne miejsce, a potem, przystąpiwszy do onych rozłoszczonych dzieciuchów, rzecze grzecznie:

— Mości panowie! wiecie, że ja niedawno pacholikiem był takim, jak wy jesteście, niedalę jak przed rokiem z pacholika na giermka wyrosłem, tedy przyjmijcie odemnie starszego braterskie słowo, i nie gniewajcie się, bo nie macie przyczyny; co białogłowa czyni, to nigdy mężkiego gniewu obudzać nie powinno, jeno to, co czyni mąż i śmieszność w tém jest, gdy się dzieje inaczej, gniew mężki na białogłową słabiuchną wygląda tak, jakby ów silny niedźwiedź czyli tur potężny na małuchną gołębiczkę się odgrażał, i z tą śmiesznością. Więc jeżeli panowie szlachta macie tu urazę jaką



i chcecie na kim ją spędzić, to przypomnicie mi to za jakie parę lat, gdy z pacholików giermkami zostaniecie i wolno wam będzie z szablą mieć do czynienia, a tymczasem bawmy się ot po bratersku wesoło i kwita!

I podał rękę serdecznie pan Jaśko małym pacholikom. Wszyscy my milkli z ciekawości co też oni na to powiedzą?... A otóż najstarszy z nich, pan Michał Zborek, szybko ująwszy podaną pana Jaśka rękę, powie żwawo i głośno:

— Dziękuję tobie, panie bracie, iż zamiast śmiać się z nas, umiałeś braterskiem rozumnem słowem wykazać mi błąd mój, zanim na skarcenie od kogo należy zasłużyłem! — I tak powiedziawszy poszedł prosto do mnie pan Michał małutki, a za nim na jego skinienie poszli i dwaj mniejsi pacholiki, i ukłoniwszy mi się, rzekł głośno pan Michał:

— We własnem i moich towarzyszy imieniu proszę o przebaczenie waszmość pannę za to, iżem śmiał przed chwilą wygrażać jej nieprzyzwoicie, czem przecież nic jej, jeno sobie samemu ubliżyłem, dowodząc, iż należnego uszanowania dla płci słabszej nie uczuwałem jeszcze, z czego mam silne postanowienie poprawić się od dzisiaj.

— I ja też nie mam żalu o to do waszmości i z serca przebaczam! — odpowiedziałam grzecznie, ale i dumnie, bo to dopiero pierwszy raz w życiu trafiło mi się zajście takie i przepraszanie, jakie między dorosłymi bywają i okrutnie mnie to ucieszyło, tak, że siedząc poważnie na krześle, mało w górę nie skakałam z radości. Ale po chwili, gdy sama pani po główce pogłaskała pana Michała, a sam pan po ramieniu poklepał pana Jaśka, a do mnie nikt nic nie mówił, tedy zaczęłam miarkować, że może ja nic chwalebne nie uczyniłam. Wieczorem późnym jednakże przemówiono i do mnie, chociaż inaczej niestety! Pani Zbrożkowa zaprowadziła mnie do pańskiej sypialnej komnaty, gdzie sama pani krótko a jasno wytłómaczyła mi, iż postąpiłam sobie brzydko, bo płochę, wywołując gniewy, niechęci, i zawiści między otaczającymi mnie ludźmi, co jedynie rozsądek pana Jaśka zagodził, gdy tymczasem ja to właśnie dziś, jako dziewczątka i później przez życie całe jako białogłowa, obowiązek mam i powinność wszystkich naokoło siebie godzić, łagodzić, i jednać. Popłakałam szczerze, przeprosiłam panią, obiecałam poprawę i dotrzymałam słowa, starając się odtąd zawsze żyć zgodnie z wszystkimi, ale swoją drogą nazajutrz po obiedzie, rozochociwszy się przez owo przyjmowanie królewicza, nie mogłam się wstrzymać, aby na złość małym pacholikom nie pożałować głośno przed panią, że niema panów dworzan starszych do tańca. Ale tym razem już się nikt nie gniewał, tylko wszyscy się śmieli, i to śmieli się ze mnie, aż uciekłam za krzesło pani, a wtém...

Wtém drzwi sali roztworzyły się z trzaskiem i wszedł pan Zawisza Czarny, prowadząc pod rękę drugiego swego wieku ale nie podobnego wcale strojem młodzieniaszka, w którym ja zdumiona od razu poznałam królewicza. Za nimi szli dwaj młodszy nasi panice, pan Kruczek i pan Farurej, a za nimi jeszcze cała gromadka naszych młodszych dworzan, a więc i pan Jaśko z Dębinki. Pan Zawisza przywiódł towarzysza swego przed matkę, obaj skłonili się głęboko, i pan Zawisza rzekł:

— Przyprawdzam Waszój Miłości, pani matko, gościa którego Bóg i własna wola przywiódł w nasz dom. Znudzili się ten gość tam, gdzie go w przygotowanych gmachach spocząć zaprosili starsi panowie, przeto zasłyszawszy odemnie, jak my w naszym dworcu spędzamy wieczory, rozkazał mi zaprowadzić się do was, pani matko, w gościnę! Imię tego gościa jest: Zygmunt z Luksemburga, rycerz.

Na krótką chwilę milczenie zapanowało w całej sali po tych słowach, a pani Sulimczykowa i pan Zawisza tak sobie w oczy spojrzeli, jakby wcale oboje zadowoleni nie byli. Natychmiast jednak pani wstała z miejsca, z dwornym ukłonem mówiąc:

— Witajże, zacny i szlachetny rycerzu, i obyś miłą chwilę spędzić mógł pod skromnym dachem, pod którym gość jest świętym i pożądanym. Odpocznij, proszę, aby nam dzieci

spały i orzeźwij się domowym naszym miodem, aby go nigdy w domu tym nie brakło. Ale... gdzież to są panowie starsi mój synu? że tak nielicznym poczem, racycie wchodzić w te progi, rycerzu?

Tak mówiąc, zaprosiła pani królewicza siedzieć na krześle, na którym zazwyczaj siadał pan domu, a panny na jej skinienie podały mu pokrzepienie, o którym mówiła, gdyż taki już obyczaj był i jest zawsze u wiejskich gospodyń, że każdego przybywającego gościa uważa się jako potrzebującego posiłku. My wszystkie odrazu z owego powitania zmiarkowałyśmy, że królewicz przyjechał tak, jak to w bajkach bywa, nie w powadze królewskiej godności, w jakiej wjeżdżał w okolicę naszą niedawno, lecz tajemniczo, w godności rycerza tylko, i tak go też pani nasza witała. Król Zygmunt ten i dzisiaj słynie między ludźmi z tego, że lubi takie wycieczki i okrutnie dba o to, aby wszyscy nań oczy zwracali, a podziwiali jego piękność, i mądrość, i waleczność; otóż i podówczas widąc po nim było, że chciał wszystkie oczy zwrócić na siebie, gdy tedy co mówił lub czynił ku temu, piękne a wspaniałemi ruchami ozdobne czyniąc widowisko, to pani Sulimczykowa spoglądała wtedy na panicza Zawiszę; ten rumienił się i oczy spuszczał ze wstydu za królewicza, bo panice nasi w surowym i skromnym a rozsądnym obyczaju wychowani byli przez rodziców.

Odpowiedział więc najprzód margrabia Zygmunt naszej pani wspaniale i ozdobnie a górnio mówić zaczawszy, kilka języków z sobą potrochu mieszając, bo żadnego dobrze podobno nie umiał, iż poczuwszy rycersko-braterskie uczucie ku panu Zawiszy, zapragnął poznać i dom jego rodzinny, słysząc z tego, iż ukrywał w sobie piękność, zacność, wdzięk, wspaniałość, i wszystkie cnoty rycerskie... wtém z tak dworną grzecznością rycerską mowę zaczawszy, spletał się w niej i zaciął jakoś królewicz, spojrział na stojącego z innemi przy krześle jego pana Zawiszę, a ten bystro zmiarkowawszy to spojrzenie, zaraz mowę jego tak dokończył, odpowiadając zarazem na poprzednie matki swój pytanie.

— Panowie zaś starsi, nic o wycieczce tej nie wiedząc, zabawiają się rozmową obecnie we wstępnych komnatach, wyznaczonych na chwilowe mieszkanie rycerza z Luksemburga, gdy on się z nich usunawszy udał, iż w sypialni swojej spoczywa, mnie tymczasem rozkazawszy, abym go tu przywiódł...

— Nie po to wszakże, abym zwyczajniej tutejszej ochocie przeszkadzał, lecz abym za pani domu pozwoleniem udział w niej brał! — dodał margrabia Zygmunt, spoglądając ku kapeli. Zatem na skinienie pani, huknęła nasza kapela we wszystkie od razu trąby, skrzypce, piszczałki i gęśle.

## V.

Dla czego zły był pan Jaśko z Dębinki.

Ale gdy państwo tak rozmawiali, a my widziały wyraźne na twarzy pani Sulimczykowej zakłopotanie, tymczasem spostrzegłam ja dobrze, jak pan Zawisza mrugnął na pana Jaśka z Dębinki i zaraz pan Jasiek, bez szmeru wycofawszy się z pomiędzy młodych panów dworzan, skrycie bokiem posunął ku mnie i schyliwszy mi się do ucha, tak powiedział:

— Z rozkazu pana Zawiszy, szepnij waszmość panna zręcznie a nieznacznie naszej pani, aby się nie kłopotowała, gdyż pan Zawisza, zafrasowany królewicza rozkazem, zrobił tak, aby wilk był syty i owca cała, bo skrycie przezemnie powiadomiał pana ojca swego, który jest wśród innych panów w królewiczowskim orszaku, i dopiero wyjechaliśmy za pozwoleniem bo panowie powiadają, że taką już fantazją królewicz ten ma do tajemnych wycieczek.

Wsunąwszy się nieznacznie, jak mała mysz, pomiędzy starszych, dopełniłam łatwo zlecenia pana Zawiszy i natychmiast widziałam, że rozjaśniła się twarz pani naszej, która mile na roztropnego syna spojrzawszy, dała dopiero ów znak kapeli. Kapela huknęła i rozpoczęła się taka ochota, takie tańce z przyspiewkami, i parami, i pojedynczo i chórem



wszyscy, że aż się dusza śmiała, jak to wszystko u nas nieraz bywało. Tańcowałam i śpiewałam i ja co sił starczyło, ale to dopiero później, gdy się bardzo rozochociłam, wprzód zaś długo siedziałam w kącie, przypatrując się strojowi margrabiego. Panny nasze mówiły, że tak albo podobnie stroili się zazwyczaj panowie rycerze, zwłaszcza zagraniczni, na wielkie taneczne zabawy, ale ja to po raz pierwszy widziałam, gdyż u nas choć się często wesoło bawiono, tańcząc i śpiewając co wieczór i po obiedzie nieraz, to przecież bez wielkich strojów i wymysłów. Zaś margrabia Zygmunt, jak dziś słynie ze swego w strojach a przebraniach upodobania, tak już i wtenczas je lubił, i przeto choć w podróży przecież wystroił się jadąc do nas, jak na wielki fest taneczny. Miał on uwite w rurkę kędziory, i cały był bardzo opięty; miał krótki jedwabny *jak*, o szerokich rękawach, a długich, blisko do ziemi sięgających wypustkach; miał barwiste pończochy bardzo wysokie; miał ciasne barwiste buciki, o długich w górę zagiętych nosach. Na szyi świecił mu złocisty łańcuch, w stanie pas srebrny, u pasa krótki kord; a wszędzie, u kołnierzyka, u bucików, u pasa, brzęczały mu maluchne dzwoneczki. Znać też było, że był pod *jakim* usznurowany i okrutnie ściśnięty, ledwo dyssał. Gdy ja tak siedzę zapatrzona na królewicza, tańczącego właśnie z panną Garbowską, też Sulimczykową i bliską krewną samego pana, aż wtem mruknie coś po cichu a gniewnie:

— Cóż to panna Beata tak się temu niedoszłemu królowi strojnisiowi przypatruje, że jęć ledwo oczy nie wyskoczą? Czy to nie widziała jeszcze dzwoneczków, jedwabików, trefionych włosów, i zadartych bucików? albo i sama tego po trosze nie używa do stroju? a człowiek też jest jeden taki jak drugi, póki nic lepszego nie uczyni, tylko tańczy jak drudzy; więc jestże na co patrzeć?

Tak pytał pan Jaśko z Dębinki, stojąc trochę z boku koło mnie, a widziałam, że był zły; więc powiem:

— Stroje znam, ale ich doprawdy w takim doborze jeszcze na żadnym rycerzu nie widziałam, więc się temu zagranicznemu obyczajowi przypatruję, abym w pamięci zachowała, jak rycerstwo to wygląda, bo dobrze jest czego nowego się dowiedzieć, a przeto radabym się dowiedziała też przy sposobności, czego waszmość jesteście zły? bo i tego nie wiem?

— Nie mam zły być i — odpowie pan Jaśko — skoro drugi raz już przychodzę prosić w taniec pannę Beatę, a panna Beata nawet mnie nie widzi, mając oczki tylko dla tego piękniśa w pończochach, a tymczasem ci łotrzyki pacholiki, p. Michał Zborek i tamci dwaj, wlaższy w kąt, prześmiewają się ze mnie, że i ze mną dzisiaj nie chce tańczyć panna z Grabek, czekając, aż ją królewicz w taniec zaprosi.

— To oni tak myślą, ci niedorostki? — powiem, zrywając się z miejsca rozgniewana — a to oni nieprawdę myślą i nie słusznie się prześmiewają, bo ja nie jestem już taka dziecinna, jak wprzód byłam, i przyrzekłam już samej pani, że więcej niegrzeczną nie będę, tylko teraz naprawdę zapatrzałam się na tego strojnego gościa i nic więcej.

Tak rozmawiając, poszłam tańczyć z panem Jaśkiem z Dębinki. Kapela huczała tak ochoczo, że się aż dusza rwała do skakania, gdy już raz urok stroju królewicza przestał mnie olśniewać. Wszyscy w piętnaście par, jak zawsze u nas zresztą, hulali, przytupywali, przyspiewywali serdecznie, więc i my, gdy na nas kolej przyszła, zaśpiewali z całą siłą, przytupując, pan Jaśko, tak zaśpiewał, spoglądając na trzech pacholików, niedawnych swoich kolegów:

Płynie modra fala zielonemi brzegi,  
Znają światy dawno pacholat przebiegi;  
Płynie fala mrużąc, bo przywykła mrużać,  
Lubią i panienci niekiedy dokuczyć;  
A no nie każdemu; powiedźcież, wy mali,  
Czemuście się zemnie tam pod piecem śmiali?

Pacholiki, którzy istotnie stali pod piecem, wyczekując pańskich rozkazów, przytulili się jeszcze bardziej do pieca na tę przyspiewkę, a wszyscy nasi roześmiali się tak żwawo, że aż mnie to mocno zdziwiło. Boć ja zawsze tak darłam koty z pa-

cholikami wedle wyrażenia pani Zbrożkowej, i pan Jaśko z Dębinki, jako niedawny pacholik a świeży giermek, wdawał się między nas, należąc do naszych kłótni zazwyczaj, i nikt się z tego tak bardzo nie śmiał, ponieważ nie było z czego. Więc śmiech obecny bardzo mnie zadziwił. Ale że to przecież od maleńkości chowałam się między pannami, słysząc ciągle, jak one wzajemnie uczą się obejsia w każdej przygodzie, i że mnie i one i sama pani Zbrożkowa, uczyły niezmiernie potrzebnej sztuki odśpiewywania przyspiewującemu tancerzowi tak, aby się przecież nie dać „w kaszy zjeść”, tedy, prędko zebrawszy rozum i uwagę, gdy kolej śpiewania po moim tancerzu na mnie przychodziła, odśpiewałam żwawo i głośno w takt muzyki, i na tę samą nutę, na jaką tancerz mój śpiewał:

Płynie modrą Wisłą poczet fali tłumny,  
Ejże, mój tancerzu, nie bądź taki dumny;  
Leci chmura leci, jak posłaniec z wiecem,  
Strzeż się, byś nie poszedł także stać pod piecem:  
Bo czy wezmę w taniec Michała czy Jaśka,  
Niczyna zasługa, tylko moja łaska!

(d. c. n.)

## ZE WSPOMNIENI MOJEGO DZIECIŃSTWA.

W kolebce jeszcze, za ledwie na świat przyszedłszy, zostałam sierotą, rodziców moich nie pamiętam wcale. Później dowiedziałem się od starszych siostrzyczek, że ojciec mój spadł nieszczęśliwie z konia i na miejscu się zabił, a nagła wiadomość o tym okropnym wypadku przyspieszyła zgon mojej matki, która wówczas za ledwie przychodziła do siebie po ciężkiej chorobie. Cios to był straszliwy, nie tylko dla nas lecz także dla dziadunia i babci, bo oni w matce naszej stracili jedyną, ukochaną córkę. Teraz całą tę miłość przenieśli na pozostałe sieroty, zabrali nas do siebie i otaczali największą troskliwością i czułością.

W najdawniejszych wspomnieniach moich widzę się prawie zawsze na kolanach dobrej babci, a miała ona dla mnie szczególniejszą słabość, którą i dziadunio podzielał. W przekonaniu babci nie było na świecie rozumniejszego dziecka, jak Adalek, gdy mówić zacząłem, każdy wyraz, wychodzący z ust moich, wywoływał okrzyki podziwu, bo i siostrzyczki, słysząc, jak babcia mój rozum sławiła, uwierzyły w to, że jestem nadzwyczajnym dzieckiem, jakimś przyszłym geniuszem. Raz, pamiętam, wyciągałem rączki do kota Milusia; siostrzyczka moja Bronka złapała go natychmiast i posadziła przy mnie na kolanach babci. Weszło już w zwyczaj w domu dogadzać we wszystkich pieczoszkwowi, odgadywać jego życzenia. Ja chwyciłem kota nieostrożnie za łapkę i ukłółem się o jego pazury, lekko bardzo, nie zabolalo mnie nawet, cofnąłem jednak ręce i powiedziałem:

— Kole! Miluś ma szpileczki w łapkach!

— Czy słyszycie? — wykrzyknęła babcia — czy słyszycie co on mówi? Miluś ma szpileczki w łapkach! To rzecz niepojęta, jakie to dziecko jest dowcipne!

Dziadzio złożył ręce z podziwu nad moim dowcipem, siostry patrzyły na mnie z uwielbieniem, i ja też sam sobie zacząłem się dziwić, że jestem taki mądry. Podobne zdarzenia powtarzały się często, przywykłem do tego, że się zachwycało każdym moim słowem, sprawiało mi to wielką przyjemność i nieraz siliłem się na dowcipy bardzo wątpliwiej wartości, jak to później zrozumiałem, byle tylko posłyszeli wykrzykniki:

— Ach! co to za mądre dziecko, ten Adalek.

Tymczasem czas mijał, z malutkiego Adalka wyrosłem na sporego chłopaka, nie siadywałem już na kolanach babci, zacząłem się uczyć po trochę, a dosyć mi to łatwo przychodziło, bo też starano się wszelkimi sposobami uprzyjemnić mi naukę i w zabawę prawie zamienić. Nowy to był powód



do zachwytów i uniesień, podziwiano moje zdolności, zarówno jak dowcip, a chociaż babcia wstrzymywała się teraz po trochu i tak głośno nie wyrażała swych myśli, rozumiałem jednak doskonale, i niewyraźne niby półsłówka, wymowne spojrzenia, których sens moralny był zawsze ten sam :

— Takiego mądrego dziecka, jak Adalek, niema drugiego na całym świecie.

powstał w całym domu, jakgdybym conajmniej na wojnę się wybierał, lub w podróż do kraju ludożerców. Płakała babcia, siostry zalewały się łzami, nawet panna służąca i gospodyni ocierały oczy, a dziadunio musiał zebrać całą moc ducha, aby nie wybuchnąć także. Prawdopodobnie jednak dlatego głównie od łez się mógł powstrzymać, że sam jeszcze nie rozstawał się ze mną, bo mnie miał odwiedzić i oddać



Raz, pamiętam, wyciągałem rączki do kota...

Pocziwe siostrzyczki nie wstrzymywały się nawet i każdy mój koncept witały zawsze wybuchami śmiechu, wyciągały mię na słówka i tak jawnie okazywały uwielbienie, że mi się w końcu głowa zupełnie przewróciła, uwierzyłem na dobre w swoją mądrość, a dowcipem popisywałem się ustawicznie. Miła to rzecz być podziwianym, niewielu ludzi starszych i doświadczeńszych potrafiłoby się oprzeć tej pokusie.

Nadszedł czas wreszcie, gdy babcia musiała się rozstać ze swoim pieszczoszkiem; sama zapewne nigdyby na to nie miała odwagi, ale dziadzio uparł się koniecznie, aby mnie oddać do szkół do pobliskiego miasta. Gdym wyjeżdżał, płacz taki

w opiekę zacnemu profesorowi W., dawnemu swemu przyjacielowi.

Ja płakałem wprawdzie, widząc wszystkich płaczących, muszę jednak wyznać, choćby mię kto miał o nieczułość posądzić, że nie byłem bardzo zasmucony. Nęciła mię nowość, marzyłem oddawna o życiu szkolném, o towarzystwie kolegów, a nasłuchiwałem się o tém wszystkiém od syna sąsiada, który już od dwóch lat nosił mundurek szkolny i z góry troszkę spoglądał na mój ubiór cywilny.

Po dłuższej poufnej rozmowie z panem profesorem i panią profesorową, dziadunio odjechał, a ja po raz pierwszy w ży-



ciu zostałem sam pomiędzy obcymi. Z początku byłem bardzo onieśmielony, milczący, lecz wszyscy tak życzliwie i uprzejmie się ze mną obchodzili, że wkrótce zwykły humor odzyskałem. Nauki niesły mi jednak tak świetnie, jak w domu, musiałem dobrze fałdów przysiedzieć, ażeby się lekcyi powyuczać, korepetytor więcej miał ze mną kłopotu, niż z innymi uczniami. A było nas sześciu na stancyi u profesora W., dwóch z tej samej klasy, co i ja, to jest z drugiej, jeden małeć z pierwszej, a trzech znaczenie starszych. Z tych jeden był zarazem korepetytorem młodszych.

Z kolegami z tej samej klasy zaprzyjaźniłem się prędko byli to chłopcy dobrze wychowani i serdeczni, uczyli się wybornie, muszę też wyznać, że uczulem się mimowoli troszkę upokorzony wyższością ich w naukach. W domu podziwiano moje zdolności, pojętność, pamięć, nieraz dziaduś, uderzając mnie palcem po czole, mówił żartem niby do babci:

— Oj, to główka nie dla proporcji.

A ona uśmiechała się ze znaczącym gestem, jakby chciała powiedzieć:

— Wiem ja o tém dobrze.

Tu jednak spostrzegłem, że ta moja głowa, tak sławiona, niczem nie przewyższa wielu innych głów, a nawet, nawet, może i do słabszych będzie policzona. Nie mogłem zrazu nawyknąć do porządku szkolnego, do systematyczności, wszystko mi szło opornie, zły też byłem okropnie, gdy kole-dzy, załatwiwszy się prędzej odemnie z powtórzeniem lekcyi, biegli bawić się na podwórko, a patrząc na mnie, mówili:

— A ten jeszcze kuje!...

— Nie lepiej mi się powodziło i z dowcipami; zacząłem bowiem popisywać się przed uczniami tym talentem, którym w domu zachwyciałem wszystkich. Raz i drugi wyjechałem z jakimś conceptem i zdziwiłem się niezmiernie, że wszyscy słuchali obojętnie, nikt nie wybuchnął śmiechem, nikt nie zawołał:

— Ach! jaki on nieporównany!

Nie zrażałem się jednak, dowcipkowałem przy każdej sposobności, koledzy czasem wzruszali ramionami, czasem się śmieli, ale jakoś nie tak wcale, jak moje siostrzyczki, podobno nie tyle z moich conceptów, co ze mnie się wyśmiewali, raz nawet ów najmłodszy małeć powiedział bez ceremonii:

— Ach! jaki z ciebie dudek, mój Adasiu, pleciesz trzy po trzy, bez żadnego sensu.

— Ty sam dudek — odburknąłem z gniewem, a byłem w duszy przekonany, że trzeba być naprawdę bardzo już chyba niemądrym, żeby się na takim dowcipie nie poznać. Odpadła mi jednak na cały dzień ochota do conceptów.

W parę dni później spóźniłem się trochę na śniadanie z rana, wszyscy już siedzieli przy stole i popijali herbatę, gdy ja wszedł do pokoju.

— Oóż to tak dziś zaspasłeś, Adasiu — rzekł profesor z łagodnym uśmiechem.

— Zaspasłem, proszę pana profesora — odrzekłem — bo wczoraj dużo bardzo roboty miałem wieczorem, i późno się położyłem.

O! czemuż nie zamilkłem, wypowiedziawszy te słowa. Ale nie, лихо mię jakieś skusiło wyrwać się z conceptem.

— Pracowałem bo wczoraj, jak Aleksander Macedoński.

— Czy nie dardanelski czasem? — odezwał się półgłosem korepetytor, przygłuszone śmiechy z kilku stron dały się słyszeć, a ja, wyobrażając sobie, że to mój concept raz przecież należy jest oceniony, nie tracąc fantazyi, mówiłem dalej:

— Potem tak twardo zasnąłem, jak minerał.

Słyszałem nieraz wyrażenie: spać twardo, jak kamień, zdawało mi się, że to wielki będzie dowcip powiedzieć zamiast kamień minerał. Gdyby to usłyszały kochane moje siostrzyczki, zanosiłoby się od śmiechu, powtarzając:

— Żkąd jemu takie concepta przychodzą do głowy?

Profesor jednak nie uśmiechnął się nawet, spojrział na mnie dziwnie, jakby z politowaniem i rzekł poważnie:

— Mój Adasiu, najpierw pamiętaj o tém, że błaznem być nie jest rzeczą zaszczytną, potem, chcąc dowcipkować, trzeba

mieć dowcip, a to coś ty powiedział, wierzaj mi, nie jest wcale dowcipne.

Cicho było, jak makiem zasiał, a ja w tej chwili doznałem takiego uczucia, jakgdyby maie kto zimną wodą oblał. Czulem, że wszyscy uczniowie na mnie patrzą, chociaż sam oczywiście miałem spuszczone, domyślałem się, jakie te spojrzenia muszą być szydercze i złośliwe, bo chłopcy, choćby najpoczciewsi w gruncie, nie mogą jednak powstrzymać się od uciechy, na widok konfuzji kolegi. Z gorączkowym pośpiechem piłem herbatę, połykałem ogromne kawały bułki, nadludzkie prawdziwie uczyniłem wysilenia, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Wstałem nakoniec od stołu wcześniej od innych, pobiegłem do uczniowskiego pokoju, gdzie w tej chwili nie było nikogo, ale nie mogłem usiedzieć na miejscu i wnet znów na korytarz wybiegłem. Przechodząc pode drzwiami jadalnej sali, mimowoli przystanąłem, usłyszawszy wymówione moje imię.

— Bo ten Adaś, proszę pana profesora — mówił jeden z młodszych uczniów — to taki jakiś głupowaty. Zawsze ot tak, jak teraz, androny plecie, ni w pięć ni w dziewięć. A taką ma tępą głowę, kuje i kuje czasem do północy.

— Mój kochany — odrzekł profesor — on temu nie winien, że głowę ma tępą; jak sam powiadasz, wynagradza to pracą, lepsze to bywa od wielkich zdolności i dowcipu. Dzie-dek i babka musieli go trochę rozpieścić, bo kochają go do zaślepienia, dlatego zapewne przywykł dziecinić się i pleść bez sensu. Nie trzeba z niego szydzić, chłopak jest dobry, choć trochę nieokrzesany, obaczycie, że prędko zapomni o tych złych zwyczajach.

Nie potrafię wypowiedzieć, co się działo ze mną, gdy tam rozmowy wysłuchał. Pobiegłem znowu do pokoju sypialnego i teraz już nie mogłem się wstrzymać, rozplakałem się rzewnymi łzami. Okropnie byłem zawstydzony i upokorzony. Więc oni wszyscy tam w domu się mylili, bo mnie do zaślepienia kochali; a ja myślałem, że naprawdę mam wielki rozum, dowcip niepospolity, głowę nie dla proporcji. Tymczasem obcy ludzie zupełnie inaczej mnie osądzili: głupowaty, tępa głowa, plecie androny; okropne te wyrazy przejmowały mnie goryczą, bo nie byłem jeszcze tak zarożumiały, abym sobie wyobrażał, że nie poznano się na mnie. Przeciwnie, uwierzyłem zupełnie, że nie mam żadnych zdolności i pracę tylko usilną potrafię to wynagrodzić, postanowiłem też podwoić pilności w pracy. Co do dowcipu, skwitowałem z niego na zawsze, chociaż nie bez żalu, szczerzę to wyznaję.

Oba te postanowienia wyszły mi na dobre. Wciągnąłem się z czasem w porządek szkolny, nauki poszły mi łatwiej, nie ufałem sobie jednak i pracowałem zawsze gorliwie. Zamiast popisywać się niemądremi conceptami, mówiłem zawsze poważnie, i rzecz dziwna: od czasu gdy sam straciłem pochlebne wyobrażenie o swoim rozumie, inni zaczęli daleko lepiej sądzić o mnie. Podobno zawsze się tak dzieje na świecie, przekonałem się w późniejszym życiu, że głupcy tylko są zarożumiali, a ludzie wyżsi rozumem i zasługą mało zwykają o sobie trzymają.

## POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA  
w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

Tak sobie wpół głośno rozmawiając sam z sobą, zacząłem płakać. Moja bezsilność doprowadzała mię do rozpacz. Pokazało się, że siedziałem znów w sali jadalnej, bo zaczęto nakrywać i podano obiad, czy wieczrę, nie wiem, bo było ciągle jakby o zmierzchu. Gdy inni jedli, mnie nie chciało się ruszyć do stołu. Wtém przyszło mi na myśl, że który



kolwiek z tych strasznych ładunków drzewa, jakie tędy ciągle płyną o tej porze, wpadnie na parowiec i zatopi go, a ja, rozbiitek, nie wytrzymam ani pięciu dni na morzu, ponieważ już od dwóch dni nie jadłem. Na tę myśl, poszedłem do stołu i zacząłem jeść żarłocznie, na zapas... I znowu pomyślałem, że taka ludzka przezorność, jak ludzki pośpiech, nie mogę nie przeciw tej woli Najwyższej, która kieruje losami światów i ich mieszkańców. Pod wpływem tej ostatniej myśli, zjadłem cokolwiek dla zaspokojenia głodu, który teraz dopiero poczułem, i wróciwszy na poprzednie miejsce, zacząłem modlić się cicho.

Zwykłym porządkiem swoim mgła znikła powoli, przetrwawszy pół dnia i więcej, lecz „Piękna Szwedka” ruszyła z miejsca, gdy tylko widzieć cokolwiek było można, nie czekając aż się zupełnie wyjaśni. Zaraz też niewyraźnie wyrzwał z tumanów Holmsund, ale Umei w głębi portu już dojrzeć nie mogłem. Mnóstwo łódek wybiegało właśnie, a po kształcie, i kierunku, i ruchu, poznałem łowców tych zwierząt, do których zaliczał mię nasz stary kapitan. Mówił on to wprawdzie życzliwie, ale gdybym był wynajął na jego parowcu oddzielną pierwszą klasy kajutę, żył odpowiednio, i grał rolę pana, to kapitan z pewnością nie nazywałby mię młodą foką. Jak cię widzą, tak cię piszą.

Serce mi się ścisnęło na myśl, czy ojca jeszcze w domu zastanę, a mimo to oczy mi się same zwracały za owemi łódkami. Nieraz dawniej po całych dniach przypatrywałem się tym łowcom, a łowani można to nazwać istotnie, i polowaniem można nazwać, gdyż do foki strzela się, i jeszcze strzelać trzeba tak celnie, mieć takie oko i rękę taką, jak niegdyś mieli słynni angielscy łucznicy, a dzisiaj mają... łowcy morskich cielał. Foka jest niezmiernie czujna, bardzo ostrożna, wzrok ma jak ostrowidz, więc żeby podejść te zwierzęta igrające lub śpiące, trzeba niesłychanej zręczności, odwagi, i wprawy do tego rodzaju polowania. Łódka staje się tu jakby żywym rumakiem, którego dosiadłszy, strzelec dokazuje cudów siły i zręczności, godnych pierwszorzędnego gimnastyka. Częstość przy prześlizgiwaniu się pomiędzy lodowiskami stawia się życie ludzkie dwadzieścia razy na kartę za jedną fokę. A strzelać trzeba w tejże chwili, w której fokę spostrzegasz, bo w następnej już fokę ciebie spostrzegła i znikła. Gdybym nie czuł sam, że powinienem w mojem położeniu zostać kupcem, pragnąłbym całe życie polować na foki.

Łódki prędko znikły, bo sunęły na południe. My dążyliśmy ku północy wśród mnóstwa statków i całych lasów wyrobionych już na deski i odpowiednie sztuki, co wszystko przygotowuje się na całym tutejszym wybrzeżu, jakby w jednej niezmierniej fabryce stolarskiej, a statki idą z tém a idą, o mało że nie popychają się w tłumie i pośpiechu, bo jak mówi nasz kapitan „muszą się natańcować przez cztery miesiące za ośm”. To znaczy, że nie wiele więcej jak przez cztery miesiące letnie żegluga jest zupełnie swobodna w tych okolicach po puszczaniu lodów, a potem znowu na ośm miesięcy lodowate kajdany zapadają na te krainy.

Tymczasem ukazała się Szeleftea, albo raczej jej straż przednia w czerwonych mundurach, tak mi się zawsze wydają te czerwone domeczki ładne i czyste, a ukryte w jodłowym lesie; tę straż przednią Szeleftei, to jest jej port, nazywają ludzie oddzielnym mianem: Urswiken. Tu wpłynęliśmy do portu i stanęli nieruchomo, jakby znowu otoczeni mgłą, wśród tłumu innych statków. Ale na ten raz tą mgłą były kupieckie sprawy naszego kapitana, i każdy prawie z moich towarzyszy miał tu coś do załatwienia. Ja jeden stałem bezczynnie na pokładzie i patrzyłem ku północy. Ażebym nie płakać musiałem znowu z dziesięć razy powiedzieć sobie, że jestem młodem cięciem, którego przybycie wcześniejsze lub późniejsze nie zmieni w niczem postanowień niczych. Narazie ruszyliśmy dalej. Śliczne czerwone domy zabłyśły mi teraz przed oczyma, jak pęk ładnych kwiatów, ożywiony ruch dużego przemysłowego miasta otoczył nas jeszcze na morzu i wpłynęliśmy do małego ale wygodnego portu Pitei.

Ani spojrzalem na małe Roknas, usadowione w głębi zatoki, na to Roknas, gdzie mam znajomych, ani na rzekę, po

której tyle się napływałem, nie sporzałem nawet na kilku wietających mię ludzi, tylko zaledwo stanąwszy na ziemi, biegłem do domu. Jeszcze nie dobiegłem, a już odetchnąłem spokojny, bo ujrzałem ojca, powracającego właśnie z zakładów. Zdziwił się, przeląkł nawet o Jana, zobaczywszy mię, ale uściśkał przedewszystkiem. Opowiedziałem mu rzecz całą, naszą rozmowę z Janem, jego i moje zamiary, pokazałem list matki i powiedziałem z naciskiem, że matka ma na ten raz jeszcze większą słusność w tém, co pisze, niż zawsze, bo na ojcu znać bardzo jeszcze chorobę... Złe wyglądał, aż mi serce znów mocniej zakolało z żalu. Chciałbym ja bardzo mieć charakter mego ojca. Ma on ten nieoceniony przymiot, że na wszystko zapatruje się z najweselszej strony, przez co i sobie i drugim ułatwia życie niezmiernie. Zrozumiawszy, co mię sprowadza, rozśmiał się:

— Oż to! — zawołał — czy wy myślicie wziąć mię w kuratelę i opiekować się mną? Dziwna rzecz doprawdy, jakim ja sposobem potrafiłem dotąd uchować się na świecie bez waszej opieki, jeżeli teraz sądzicie, że nie dam sobie bez niej rady?

Wypytał mię o różne szczegóły, i o to, czy pan Mat nie pogniwa się na mnie za taką „ucieczkę”, jak nazwał moje podróże, a wtém weszliśmy do domu, spotykając matkę na progu.

— Jan mię przysyła! — krzyknąłem z daleka, aby ją uprzedzić, że Jan zdrow; bo matka jest znowu jakby przeciwstawieniem ojca, gotowa spodziewać się strapienia ze wszystkich stron i w każdej chwili. To też po porozumieniu, wcale się nie zdziwiłem, że moje i Jana projekta podróży, zamiast w matce znaleźć poparcie a opór w ojcu, przeciwnie jemu się spodobały, a ją przeraziły na nowo:

— Ja nie tego chciałam, pisząc do was — mówiła ze łzami — ja chciałam, aby żaden nie jechał!

— To być nie może — odpowiedział półgłosem ojciec — bo odkąd zawiązałem stosunki handlowe z panem Stern-Biordem, zobowiązałem się działać w sprawach spółki. Zamiar, o którym mowa, jest bardzo dobry i może być korzystny dla wszystkich, a ja nie mam żadnej przyczyny uwalniać się od tego, co w takim razie musi dopełnić ktoś drugi. Że zaś Karol powinien podróżować ze względu na swój zawód, zatem kto wie, czy to nawet nie będzie dobrze, iż pierwszą podróż odbędzie się mną. Może i dla pana Mata ztąd wynikić korzyść jaka; wszak i wśród Laponii, i na wybrzeżach Oceanu Lodowatego, żyją dziś ludzie, jadający cukier, a parowe statki ułatwiły stosunki, pękły już lody nieprzebyte niegdyś w tych stronach, dziś taka podróż, jak nasza, to toż samo, co przejażdżka ztąd do Gdańska!

Skoczyłem ojcu na szyję za te słowa, bo ten jego sposób zapatrywania się na rzeczy zachwyca mię zawsze. Matka, widząc, że musi poddać się konieczności, po swojemu ukryła żal, ponieważ byłby już próżnym, a zajęła się naszymi pakunkami, które powinny być bardzo małe a właściwie obmyślane; matka zna się na tém, jako mieszkanka rodzima stron północnych. Ojciec napisał zaraz list do pana Mata, donosząc mu to wszystko, co matce mówił przed chwilą. Bo trzeba wiedzieć, że nie mówił on tego dla uspokojenia matki, tylko owszem z rzeczywistego przekonania, gdyż takie już ma usposobienie, że szczerze wyszukuje dobrej i miłej strony w każdej sprawie i w każdym człowieku, i oczywiście, szukając szczerze, znajdzie zawsze to, czego szuka, ponieważ, jak wiemy, każda rzecz ma dwie strony. Bardzobym pragnął, żeby wszyscy ludzie podobni w tém byli do mego ojca. Byłoby przez to lżej i wesелей żyć na świecie.

Pan Stern-Biord wrócił nazajutrz, gdyż zwiedzał tylko zakłady i składy nad rzeką Roknas i był w miasteczku. Bardzo mu się to podobało, że ja jadę z ojcem, ponieważ mimo niedoświadczenia, cztery oczy lepiej widzą niż dwoje. Celem naszej podróży ma być zbadanie fabryk guana, aby założyć podobną, ponieważ źródło to przedstawia korzyści. Dla pana Stern-Biorda taka podróż jest prawdziwą przyjemnością, i jest to przyjacielska uprzejmość z jego strony, że ją ojcu ustępuje, sam najeżdźszy i napływawszy się już do syta.



— A cóż za obrzydliwy cel i obrzydliwa podróż — rzekła matka, przykładając chustkę do nosa.

Tymczasem ojciec rozłożył mapę i obaj z p. Stern-Biordem zaczęli oznaczać na niej drogę, którą mieliśmy się udać, i mnie wezwali do narady, żartami oczywiście, ale ja nie żartem przyglądałem się tej drodze:

— Oczekajcie no — powiada pan Stern-Biord — my tu wszystko układamy a przecież najpierw potrzeba nam rozmówić się z przewodnikami, po to trzeba pójść na wybrzeże.

I zamiast posłać kogo na to wybrzeże, jakby to jaki inny rozleniwiony w beczynnym życiu starzec uczynił, pan Stern-Biord chwycił kapelusz i poszedł żwawo sam.

— Chodźmyż i my, bo o naszą skórę tam będzie przecież umowa — powiedział żartując ojciec, i poszliśmy także.

W porcie stało dużo statków z różnych stron. Pan Stern-Biord wziął się do werbowania przewodnika w dość dziwny sposób; na wybrzeżu, gdzie się najwięcej ludu uwija, stanął na jakiejś pace i machając kapeluszem wysoko, wołał wielkim głosem:

— Héj! ahu! hu! dziatwa! dziatwa! wilki! morskie wilki! Chciałbym się dostać na Atlantyk! kto mię zaprowadzi?...

Dostać się na Atlantyk z Pitei, znaczy to oczywiście przebyć w poprzek Szwecyą i Norwegią. Wprawdzie na portowym wybrzeżu, gdzie się ciągle ładuje i wyładowuje towar z okrętów, był już tłok, hałas, i rwetes, ale trudno sobie obrazić, jaki ścisk i wrzask powstał wtedy, gdy te słowa pana Stern-Biorda zabrzmiały głosem trąby w powietrzu; przyczyną tego ruchu było kilkunastu ludzi, którzy przebojem pchali się przez innych ku nam, krzycząc:

— Tom! Tom! stary ojciec Tom jeszcze raz wybiera się szukać węża morskiego! ja go przeprowadzę na Atlantyk! ja! ja! ja!

— Hu! hu! hu! — śmiał się grubym głosem pan Stern-Biord bardzo ucieszony tą ochotą starych przyjaciół, bo on tu wielu znał, a jego znali wszyscy. Gdy owi ochotnicy otaczali jego mównicę, to jest ową pakę, on rozpoczął humorystyczną przemowę tym marynarskim szwargotem, który ja ledwo rozumieć mogę. W przemowie tej oświadczał, że powodowany okolicznościami, rozminął się z prawdą, że to nie on jedzie obecnie, ponieważ zestarawszy się na poszukiwaniu węża morskiego, dla przekonania całego świata o jego niezaprzeczonym dla żeglarzy istnieniu, postanowił misją tę powierzyć swoim zastępcom... Tak mówiąc, pan Stern-Biord wskazywał na nas i polecał nas ojcowskiej opiece swoich przyjaciół, którzy, jeżeli jego mieli za ojca, to nas oczywiście za synków mieć musieli. Przemowa ta, naszpikowana niezliczonymi żeglarskimi dowcipami, wzbudziła w tłumie słuchaczy taki dobry humor, że roboty przzerwano po części i słuchając a śmiejąc się, otoczono nas tłumnie. Było to wszystko tén szersze, że wiedzano, iż improwizacja ta, jak wszystkie podobne pana Stern-Biorda, musiała skończyć się sutympo częstunkiem. Ale żeglarze i tutejsi przewodnicy są ludźmi obowiązku, mimo, że lubią poczęstunek, to też gdy huczniemi okrzykami przyjmowali nas pod swoją opiekę, a my kłaniałiśmy się im kapeluszami, w najlepszej w świecie komitywie, oni nie zapominali wcale głównego celu zebrania:

— Please (za pozwoleniem) — rzekł jeden, widocznie krajowiec, ale głośno wymawiając ten wyraz, aby wiedzano, że miał już do czynienia z Anglikami, to jest z najbardziej wymagającymi podróżnikami z powołania. — Please! proszę ciebie ojcie Tomie, powiedz no ty wyraźnie, gdzie ci synkowie mają się udać? bo coś miarkuję, że na północ, więc możeby nie wędrować napróżno przez nasze *górkę i zagony*?

Górki i zagony, znaczyło to Szwecyą i Norwegią w poprzek, od zatoki Botnickiej do Atlantyku. Pan Stern-Biord odrzekł wyraźnie:

— Ci synkowie muszą dotrzeć do Wadsöe na Warangerfiordzie!

— To pocóż mamy wędrować do Atlantyku? nie proścież że nam iść wprost przez Laponią do Warangerfiordu?... ja i tak przeprowadzę!... — odpowiedział przewodnik. Był to nieduży człowiek, Lapończyk, jak się później przekonałem, choć w uczęszczanym porcie, gdzie często bywał, przekształcił się już na to coś nijakiego, co się zowie kosmopolitą. Wyglądał tak, że nie mógłbym zaręczyć, czy miał lat 30 lub 60. Patrzył śmiało i uważnie, i odrazu podobał się ojeu.

(d. c. n.)

## SZARADA.

(Od Stokrotki z Zofiówki dla Stokrotki z nad Granicy).

*Pierwszém* ucieszasz zbytęcną wrzawę,  
Naprzykład dzieci głośną zabawę;  
Gdy do *pierwszego* dodasz i *drugie*,  
Nie będą twoje namysły długie,  
Otrzymasz bowiem kolor nie biały,  
I nie jaskrawy, nie okazały;  
Teraz już pewnie odgadniesz przecie,  
Ja z tego będę *drugie i trzecie*;  
Niezbýt się twoja główka wysili,  
Gdyż *wszystko* czytasz właśnie w tój chwili.

## Czarodziejska sztuczka.

(Od Wybrednisi dla Rózyzki polnej).

*Mech* — *Libawa* — *Mała*.

Odjąć pożywienie i miasto, a zostanie widziadło.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

### Prozy i poezyi:

Liro moja ty złota,  
Coś służyła mi wiernie  
W tój pielgrzymce żywota  
Przez urwiska i ciernie.

Ej nie jedną, nie małą  
Radość rzewną a błogą  
Przez cię serce poznało,  
Liro moja niebogo!

(Początek utworu Adama Pluga pod tyt: „Ostatnia pieśń.”)

### ŁamigłóWKi zgłoskowej:

Litera T.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Dzień dobry wierszyk p. Z. Morawską. — Złote pacholę, powieść z dawnych czasów p. M...a. (c. d.) — Ze wspomnień mojego dzieciństwa (z drzew.) — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — ŁamigłóWKi, rozwiązania. W Dodatku: Obrazy historyczne (z drzew.) — Zbytni pośpiech, wierszyk Ludwika Niemojowskiego. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana — ŁamigłóWka, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.



## OBRAZY HISTORYCZNE.

### IV.

Znajomy nasz Micio przez czas dość długi o obrazach historycznych nie wspominał, zajęty był egzaminami i nawet w niedzielę popołudniu lekcye powtarzał. Nadeszły wreszcie wakacje, Micio dostał promocyą i teraz nietylko we święta lecz codziennie mógł bawić się do woli z siostrzyczkami. Rodzice wyjechali na letnie mieszkanie z dziećmi, a był tam ogródek, w którym wolno im było kopać, zasadzać kwiatki, polewać, wyrwać chwasty; wszystko to są bardzo przyjemne zajęcia, nic dziwnego, że dzieci o obrazach historycznych nie myślały.

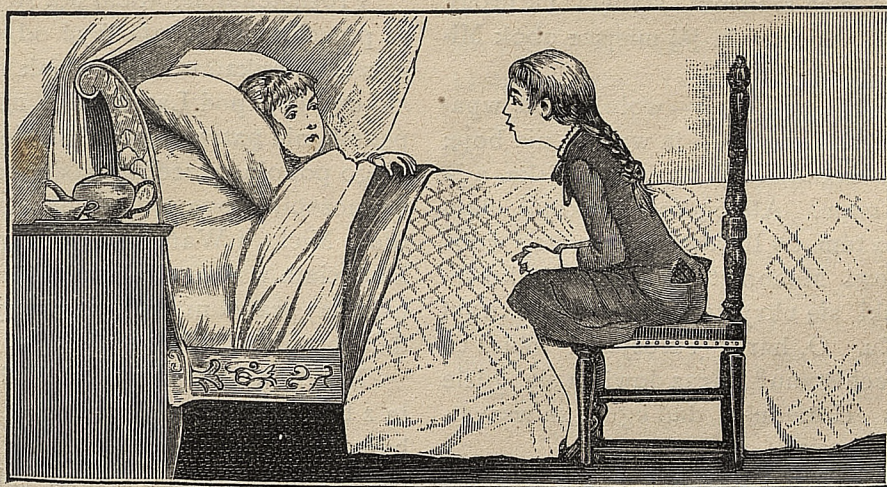
sofę i stając w gotowości do walki obok braciszka — bijmy Turków i Tatarów.

— Ja widziałam Tatara — mówiła Bronka — pamiętasz, Wańdziu, ten, co to kumys robi w Nałęczowie. Tak grzecznie nam się kłaniał, dał mi troszkę kumysu do pokosztowania.

— Widzisz, jak to on grzecznie teraz się kłania, ten Tatar — rzekł Micio — ale żebyś tak była żyła przed dwustu laty, to jego pra-pra-dziadek złapałby ciebie na arkan, taki sznur mocny z pętlą i przytroczył do siodła swego konia, a potem okładałby cię batem, żebyś prędzej biegła.

— Miciu, co ty za okropności mówisz!

— To jednak czysta prawda, czy to nie uczyłaś się historii i nie wiesz, że Tatarzy dawniej ciągle Polskę na-



Po wojnie.

Ale dnia pewnego deszcz padał od rana, ochłodziło się znacznie i trzeba było siedzieć w pokoju. Dziewczynki ubierały i rozbierały lalki, Micio czytał z wielkiem zajęciem opowiadanie historyczne o Sobieskim, ukończywszy, odłożył książkę i rzekł do siostrzyczek:

— Wiecie co, możebyśmy urządzili obrazy historyczne.

— Ach, prawda! — zawołała Wańdzia — tak dawno już nie było obrazów historycznych.

— A to taka śliczna zabawa — dodała Bronka, która zapomniała zupełnie o różnych smutnych następstwach dawniejszych przedstawień — mój Miciu, urządzmy zaraz obraz historyczny, tylko wymyśl coś ładnego.

— Już wymyśliłem — rzekł Micio, z tryumfującym uśmiechem — biliśmy Krzyżaków, biliśmy Szwedów, teraz musimy jeszcze strzepać porządnie Turków i Tatarów.

— A dobrze — wołała Wańdzia, rzucając lalkę na

jeźdźali, rabowali wszystko, palili i pustoszyli, a ludzi uprowadzali w niewolę.

— Ależ to musieli być jacyś inni Tatarzy, nie tacy jak ten, co w Nałęczowie — mówiła Wańdzia.

— Zupełnie tacyż sami — upewniał Micio — tylko że wtenczas mieli potężne swoje państwo w Krymie, a i Turcy im pomagali, bo Tatarzy, tak samo jak Turcy, są mahometanami, wielką też mieli ochotę ci mahometanie, zawojować wszystkie kraje chrześcijańskie. Kto wie, możeby się im było udało, bo strasznie byli silni, żeby nie nasz dzielny król Jan III. On to ich pogromił...

— Pod Wiedniem! — wykrzyknęły obie dziewczynki.

— Czy tylko pod Wiedniem — mówił Micio poważnie — król Jan Sobieski gromił ich raz po raz, choć zawsze daleko mniej od nich miał wojska. Raz naprzykład pod Lwowem... Ale poczekajcie, właśnie tę bitwę pod Lwowem będziemy przedstawiali. Co to za pyszne było zwycięstwo!



— Zaczynamyż — rzekła Bronka — czemuż my obie będziemy? bo ty z pewnością będziesz Sobieskim.

— Rozumie się. Pomóżcie no mi tę sofkę troszkę przesunąć, to będą szanice, a w tym kąciku Lwów; ja tu we Lwowie stanę z moim wojskiem, ty, Bronko, jesteś hetman Radziwiłł, Wańdzia będzie sułtan Nureddyn, wódz tatarski i przyjdzie z drugiego pokoju.

— Już ci mówiłam nieraz, Miciu — odparła na to Wańdzia — że nie chcę być żadnym nieprzyjacielskim wodzem, ja będę także jakimś polskim hetmanem.

— Ależ, moja Wańdziu — mówił Micio — tak nie można, z kimże ja będę wojował, jeżeli ty nie zechcesz być nieprzyjacielem?

— Stołki poustawiać.

— E, co to za wojna ze stołkami. Moja Wandeczko...

— Popsujesz całą zabawę, Wańdziu — dodała Bronka.

— Dobrze tobie mówić, bo już jesteś hetmanem, a ja mam się koniecznie poświęcać...

— No to ja się poświęcę — rzekła wspaniałomyślnie Bronka — idź ty do Lwowa na hetmana Radziwiłła, a ja będę tym sułtanem Nureddynem.

I wybiegła Bronka z za szaniców, stanęła na progu drugiego pokoju, a Wańdzia zajęła jej miejsce obok Micia.

— Ho, ho! poczekajcie, poganie! — wołał Micio, wpadając w zwykły zapał wojowniczy — ja was się nie boję; wy idziecie na mnie w kilkadziesiąt tysięcy wojska, a ja tu i ośmiu tysięcy nie mam. Ale bądźcie spokojni, dam ja wam radę! Wiem o tém, co Ibrahim, najwyższy wódz turecki donosił sułtanowi Mahometowi, że jak tylko się dowiedzie, gdzie król polski się ukrywa, zaraz go pochwyci i odstawi do Carogrodu. O, hardy Turczyni! tobiez to porwać się na lwa Lechistanu? Zaraz dowiesz się, gdzie przebywa król polski. Hetmanie! dać ognia ze wszystkich dział na powitanie moje!

I nie czekając na działa, Micio zaczął z całej siły sam klaskać w dłonie, udając wystrzały armatnie, a Wańdzia go naśladowała.

— Wysuwaj się teraz, Bronko, pomaleńku z za progu — komenderował Micio ciszej — wołaj! Allah! Allah! a my wyjdziemy naprzeciw ciębie ze Lwowa. Ty, hetmanie, mów do mnie: Niechże się wasza królewska mość nie naraża i nie staje własną osobą na placu boju.

Bronka powtórzyła wyrazy, podpowiedziane przez braciszka, a Micio zawołał z zapałem wielkim:

— Pójdę sam, nikt mnie nie powstrzyma! Nie chciałem się koronować, póki nie wypnę wrogów z ziemi ojczystej. Zwycięzę lub zginę. Lecz mam nadzieję w Bogu, On mi dopomoże, pokonam pogan i wówczas dopiero koronę włożę na głowę! Śmiało naprzód! nie dajmy nieprzyjacielowi wejść do miasta!

I chwytając pałasz drewniany, nasz dzielny Micio wyszedł na środek pokoju, Wańdzia szła za nim, a Bronka z ostrożnością posuwała się od progu, wołając w niebogłosy: Allah! Allah! Micio zaczął nagle dmuchać z całej siły.

— Słyszycie, jaka to burza się zrywa? — wołał — z rana była pogoda najpiękniejsza, a i teraz tu nad nami świeci jasno słońce, a tam na Muzułmanów gwałtowny grad sypie, tumany śniegu ich oślepiają!

— Więc to w zimie my wojujemy? — zapytała Bronka zdziwiona.

— Wcale nie, bitwa pod Lwowem odbyła się 25 Sierpnia, a jednak śnieg spadł naprawdę i ubielił pola tam właśnie, gdzie przesuwali się tabory tatarskie, nad Lwowem słońce świeciło. Nureddyn okropnie się nastraszył, bo był przesądny, więc myślał, że Allah tak się na niego gniewa, a tu Sobieski natarł na Tatarów dzielnie wśród gromów i huku nawałnicy. Hu! hu! Brr! trr! — Micio doskonale umiał udawać grzmoty, wymachiwał przytępionym pałaszem na wszystkie strony, Bronka jednak odważnie posuwała się dalej, bo sądziła, że Nureddyn nie mógł przecież tak pierzchnąć odrazu, musiał się spotkać z wojskiem polskim.

— Widzisz — mówił znów Micio do swojego hetmana — ja tu stanę obozem — i krzesło postawił przed sobą — nieprzyjacieli tu do mnie niełatwo się przedrzeć, bo musi się przeciskać przez wąwóz, dokoła wzgórze, na nim dżala ustawić i strzelać, paf! paf! Ha, lotry! co wy sobie myślicie? Bierście nogi za pas i uciekajcie, bo ja tu wam dam!...

I rozmachał się Micio tak straszliwie, że Bronka, która przecież nie mogła być odważniejsza od Nureddyna, zaczęła umykać tak samo, jak i ten sławny wódz tatarski umykał pod Lwowem d. 25 Sierpnia 1657 r. Biegła pędem, nie patrząc przed siebie, dopadła do drzwi drugiego pokoju, przedostała się szczęśliwie przez próg, lecz tu zaczepiła nogą o dywanik, leżący na podłodze i upadła. Micio i Wańdzia podbiegli do siostrzyczki, Bronka chciała wstać, ale krzyknęła żałośnie i znów na ziemi usiadła; prawa nóżka strasznie ją bolała, nie mogła w żaden sposób na nią stanąć.

Nadeszła Mama, zaniósła dziewczynkę na łóżko, zdjęła z bolącej nóżki obuwie, opatrzyła ją i okazało się, że była zwichnięta, opuchła też bardzo, a przy najmniejszym poruszeniu okropnie bolała. Musiała Bronka przez dni kilka leżeć w łóżeczku, ale nie nudziła się bardzo, bo Micio i Wańdzia kolejno przy niej siadywali. Micio wyrzucał sobie, że siostrzyczka cierpi z jego winy, ale dobra Bronka go pocieszała, mówiąc:

— A cóż ty temu winien? Musiałeś przecież gromić Tatarów, nie mogłeś pilnować Nureddyna, żeby sobie coś złego nie zrobił.

## ZBYTNI POŚPIECH.

Kilka już razy, kochana dziatwo,  
Opisywałem onych guzdrałów,  
Którzy wśród dzienniej pracy nawałów  
Nic nie dokończą, choć skończyć łatwo.

Teraz o takiej wadzie wam wspomnę,  
Co w mowie ludzkiej zwie się pośpiechem,  
Jest ona także nie małym grzechem,  
I często zrządza szkody ogromne.

Frania na przykład, nie znając granic  
W prędkości swojej, miała ochotę  
Od rana skończyć każdą robotę,  
Aby być wolną... i wszystko za nic!



Raz mama rzekła — oto sukienka,  
Która pojutrze pójdzie do prania,  
Niechaj ją zatem spruje panienka,  
Ale nie „łap! cap!” jak robi Frania.

Trzeba nożyczki trzymając w dłoni,  
Z zastanowieniem się należytem,  
Rozcinać ścięgi, pruć bryt za brytem,  
Wolno, ostrożnie... wszak nikt nie goni?

Siadła, z początku wierna zasadzie,  
Jaką głosiły usta mateczki,  
Tnie po kolei wszystkie niteczki,  
I sprute bryty na stronie kładzie;

Lecz wnet po chwili powiada sobie:  
— Przecinać nitki próżny ambaras,  
Im skończę prędjéj, tém lepiej zrobię,  
Na cóż tu ślęczyć, gdy można zaraz?

Szarpie więc mocno Frania uparta  
Trzymane bryty, i wkrótce potem  
Pęka materya z wielkim łoskotem,  
A suknia na dwie części rozdarta.

Mama zaś wszedłszy, tak rzeknie na to:  
— Rozdarłaś suknię, chcąc ją spruć prędjéj,  
Lecz ja na nową nie mam pieniędzy,  
Więc nosić będziesz sukienkę z łata.

Jaka z zdarzenia tego nauka  
Wypadła, każdy łatwo z was zgadnie:  
Trzeba rzecz wszelką robić dokładnie,  
Bo źle a prędko nie wielka sztuka.

*Ludwik Niemojowski.*

## NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLĄTANA.

(Dalszy ciąg).

Z początku, póki jechał przez posiadłości Zielonki, miał podróż bardzo przyjemną, bo droga szła przez lasy cieniste i zielone pola. Lecz wkrótce wjechał znów w okolicę piaszczystą, gdzie ani drzewka, ani ździebełka trawy nie było widać. Domyślił się, że to się już zaczyna państwo Pióropuszką, wkrótce też napotkał ogromne trzody bydła, krów, owiec, stada koni, nakoniec ujrzał z daleka wspaniałą rezydencją królewicza.

Zdumiał mistrz na ten widok. Już w drodze łamał sobie nad tém głowę, z czego też królewicz Pióropuszek mógł sobie pałac pobudować, jeżeli nie chciał do tego użyć, ani minerałów, ani drzewa. Bo jak to urządzić budowlę z materyałów zwierzęcych? Pokazuje się jednak, że dla chcącego nic niema trudnego. Królewicz bardzo dowcipnie sobie poradził, wziął do pomocy słynnych buwniczych, wytrwałych robotników, którzy nietylko mury, lecz wyspy rozległe wznoszą na morzu. Pióropuszek urządził sobie przepyszny pałac koralowy, i to z najpiękniejszych koralu czerwonych. Możecie sobie wyobrazić,

jak to dziwnie i okazałe wyglądało. Abrakadabrus i tu, tak samo, jak na dworach królewiczów Kryształka i Zielonki, przyjęty był z honorami i serdecznością wielką, witano go fanfara, odegraną na olbrzymich rogach, Pióropuszek uszczęśliwiony przybyciem nauczyciela królewny Perełki, prowadził go na pokoje. Wielki tu przepych panował, ściany koralowej budowy wewnątrz obciągnięte były jedwabniami, purpurowymi makatami, sprzęty, po większej części ze słoniowej kości, z szyldekretu, perłowej macicy, pokryte były także jedwabniami, bogatemi materyami. Niemałego trzeba było dowcipu, ażeby to wszystko urządzić bez minerałów i bez drzewa, dokazał tego jednak królewicz Pióropuszek, trzeba mu oddać sprawiedliwość, że gdzie nie było ostatecznej konieczności, tam umiał się obejść bez dóbr, należących do braci.

— Cóż to za szczęśliwa gwiazda cię tu przywiodła, mistrzu kochany? — pytał królewicz Pióropuszek.

— Żadna gwiazda, miłościwy królewiczu — odrzekł Abrakadabrus żartobliwie — przywiózł mię tu poprostu mój pocziwy muł.

— Zawsze jesteś pełen dowcipu, mistrzu; w każdym razie uszczęśliwiasz mię swoim przybyciem. A czy dawno opuściłeś dwór króla Dobromira? czy zdrowi są królestwo oboje i cudne królewny?

— Mam nadzieję, że wszyscy są zdrowi, bo gdyby kto zachorował, toby tu już goniec po mnie przyleciał. Wyruszyłem w drogę przed kilku dniami, ale jadę sobie przemiennym dyszlem, dziś nocowałem u dostojnego królewicza Zielonki i dzień wczorajszy spędziłem u niego.

— Ach! biedny mistrzu, toż mi cię żal szczerze, bo musiałeś tam się wygłodzić okropnie u Zielonki, on samemi jarzynkami żyje, zielnikami. Ale poczekaj, u mnie przynajmniej się pożywisz, jak należy.

— Nie gardzę ja dobrą poledwicą, miłościwy królewiczu — mówił Abrakadabrus — nie byłem jednak głodny u dostojnego twego brata, roślinne potrawy, umiejętnie przyrządzone przez kuchmistrzów jego, bardzo mi smakowały.

— Niechno się zapoznasz z moją kuchnią — rzekł Pióropuszek — ja tam nie lubię zieleninek, będziemy mieli obiadek mięsny, a dla różnaitości trochę ryb, jaj, mleka, o! moja spiżarnia dobrze jest zaopatrzona, nic w niej nie brakuje.

— Nic? bardzo się cieszę — rzekł Abrakadabrus — a wyznaję, że obowiałem się trochę, czy nie braknie ci, miłościwy królewiczu... powszedniego chleba.

— Chleba? — zawołał Pióropuszek i poczerwieniał jak burak — a nacóż mi chleba, skoro mam dostatek mięsa, ryb, jaj, mleka? My tu wszyscy, i ja, i dwór mój cały, przywykliśmy do takiego jadła.

— Zapewne też i trzody twoje, woły, krowy, owce konie, przyzwyczaileś, miłościwy królewiczu, do mięsnego pożywienia. To bardzo szczęśliwie, bo inaczej miałbyś obropny kłopot, uważałem, przejeżdżając przez twoje posiadłości, że brak tu zupełny łąk i wszelakiéj paszy. Myślałem sobie nawet, jakim cudem to wszystko żyje? Ale skoro woły twoje i owce jadają kotlety, to niema o czém mówić.

(d. c. n.)



# ZADANIE KONIKOWE.

(Od Orła z nad Niemna dla Gołębia z nad Warty).

|      |      |       |
|------|------|-------|
| wny  | Szła | je    |
| wo   | za   | ró    |
| dzie | wo   | chcic |
| na   | dzie | gro   |

Odczytać dawne przysłowie polskie.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 28-go.

Szarady:

Pol — ka.

## Skrzynka do listów.

**Róży polnej z Mokotowa** Cóż to za radość dla nas, że kochane korespondentki tak dobrze rozumieją i tak skwapliwie stosują się do rad podawanych w naszym Piśmie. Ta kwota zaoszczędzona z pieniędzy, otrzymanych od rodziców na tramway i z drobnych datków zebrana, jest właśnie owém ziarnkiem tak pożądanem do naszej miarki. Serdecznie miłej Różyeczce dziękujemy i prosimy, aby dotrzymała przyrzeczenia i stałą korespondentką została.

**Prymulce różowej** dziękujemy za dowcipne łamigłówki, nie wiemy jednak, czy niektóre z nich dadzą się zamieścić, gdyż wszelkie rysunki, nawet najprostsze, muszą być wprzód na drzewie wycięte. Radziliśmy Prymulce należeć do konkursów Kazia, bo on rozdaje dużo nagród i łatwiej jest zawsze jedną z nich otrzymać. Teraz Kazio odpoczywa na wsi, lecz po powrocie zaraz z nowem zadaniem wystąpi.

**Różyeczka polna** może swoją robótkę wykonać w ręku lub na maszynie, nie stanowi to żadnej różnicy, byle tylko nikt starszy przy tém nie pomagał. Nie możemy już sobie przypomnieć owego zapytania, na które kochana Różyeczka nie otrzymała odpowiedzi, prawdopodobnie jednak nie odgadła, bo to rzecz wcale nie łatwa do odgadnięcia.

**Ślimak** zastosował się do pseudonimu i bardzo się spóźnił z nadesłaniem zadania konkursowego, nie mógł więc nawet być wymieniony.

**Muszelce z nad Bohu** wynagrodzi zapewne zadowolenie wewnętrzne ofiarę uczynioną z przysmaczków dla ubogich dzieci, my w ich imieniu dziękujemy serdecznie.

**Turkawka z nad Bystrzycy** wcale nie była zapomniana w naszej redakcyi, sądziliśmy, że już z „Wieczorów” wyrosła, a odezwą kochanej Turkaweczki, która przyfrunęła z dobroczynnym datkiem, ucieszyła nas bardzo. Kazio dobitnie tłumaczył, że drobne ofiary nie powinny być pogardzane, a kwota przysłana nie jest znów tak drobna.

**Oleńca ze Żmujdzi.** Prosimy najpierw o wyjaśnienie dla czego szanowna nasza korespondentka zapewnia że *nigdy!* o nic nas prosić nie będzie? Zasmuca nas ten wykrzyknik, bo widać że nie odpowiedziliśmy położonemu w nas zaufaniu. Prosimy też nawzajem aby nam wybaczyła, że zapytujemy jak stoi nasz rachunek,

bo po wysłaniu ostatnich książek nie pamiętamy czy zostało u nas jeszcze w kassie rs. 1 kop. 15 czy też nam się należy jakaś dopłata. Moglibyśmy to w końcu sprawdzić sami, ale trzebaby na to przerzucać setki listów. Bardzo dobry katechizm dla starszych panienek jest ułożony p. F. Egerównę. Kosztuje rs. 1 kop. 50 bez przysyłki pocztowej, która zapewne wyniesie kop. 20.

„Kochany Stefusiu! Zdaje mi się, że twój pseudonym jest F. gielek. Mam lat 12 jestem uczniem klasy I w szkole realnej w Poniewieżu. Zygmunt S. z kowieńskiego gub.”.

„Kochana Pliszko z nad Gopla! Dziękuję ci za wiadomości o Strzale, do której już napisałam. Znam cię dobrze z widzenia. Na imię ci Terenia, czy tak? Do widzenia, Piosenka.”

„Kochana Różyeczko z Mazowsza! Oddawna się domyślałam pod twoim pseudonimem mojej kochanej siostrzyczki Wandzi. Pytasz mię, Różyeczko, kiedy ciocia przyjedzie. Jestem pewna, że gdy tych słów parę do ciebie dojdzie, będziesz się już widziała z najdroższą mateczką moją. Tymczasem całuska ci przesyłam Gwiazdka z Czerwonej Rusi.”

„Kochana Wielkopolanko! Kto wie, może się kiedy spotkamy, a wtedy przyjemnie nam będzie przypomnieć sobie korespondencyą z „Wieczorów”. Tymczasem przyjm uścisk od Ukrainki na Mazowszu.”

„Kochana Bławatko z nad Horynia! Nasze matki się znają i myśmy się raz widziały na Ukrainie, teraz ja jestem na Mazowszu, lecz czy nie będziemy, choć nie równie wiekiem, korespondowały z sobą? Twoja Ukrainka na Mazowszu.”

**Iskierce i Niezapominajce z nad Grabówki** przesyła pozdrowienia Ukrainka na Mazowszu.

„Kochana Niezapominajko z nad Narwi! Chciałabym zaznać mić się z tobą osobiście, moja miła Niezapominajeczko, ale ponieważ to jest niemożliwe, przeto, aby ci się dać cokolwiek poznać donoszę ci, że nazywam się Zosia, a jest nas ośmioro rodzeństwa. Przyjm serdeczne pozdrowienie, choć nieznanej lecz życzliwej Niezapominajki.”

**Jutrzence, Wiochnie z pod Lublina i Niezapominajce z nad Wkry** przesyła pozdrowienia Niezapominajka.

„Kochana Iskierko! Bardzo mi się podoba twój pseudonym dla tego chciałabym cię poznać choć przez te kochane „Wieczory”. Jestem o rok od ciebie młodsza, a na imię mi tak, jak jednej królów polskiej dobrej i od wszystkich kochanej. Odpisz mi proszę cię, twoja Kalina.”

**Panią „Arę”** przepraszamy bardzo, iż przez nieuwagę zeszłego przy powiastce „Próżna Wandzia” wydrukowano podpis Ada zamiast Ara. Przez szczególny zbieg okoliczności dwa te pseudonimy tak podobne następowały jeden po drugim, co stało się powodem omyłki. Za rękopisy dziękujemy serdecznie równie jak i za fotografią Sokoła.

## SPRAWOZDANIE Z KONKURSU KALIGRAFII.

Ze wszystkich próbek pisma, nadsyłanych na konkurs, najlepsze są z następującymi podpisami: 8-letnia Oleńca ze Żmujdzi — 9-letnia Konwalja z nad Wisły — 9-letnia Gwiazdeczka z nad Wilgi — 8-letnie Żywe Srebro — 7-letni Leszek Biały — przyznajemy więc za nie nagrody. Leszek Biały (z Krakowa) odbierze swoją, gdy nadeśle adres dokładny bo o tém zapomnieli.

Na odznaczenie zasługują próbki kaligrafii podpisane pseudonimami: 7-letnia Bera słucka — 8-letni Skoczek — 8-letnia Wierzba z nad Wisły — 7-letni Pączek ze Żmujdzi — 9-letnia Sobótka — 9-letni Latawiec — 8-letnia Wiosenka — 8-letnia Łuska — 9-letni Fiołek alpejski.

**Na kolonie letnie** złożyli: Wielkopolanka kop. 49 — Luconia S. kop. 50 — Henio O. kop. 50 — A. K. rs. 1 — Brzózka płacząca rs. 1 — Jaskółka z nad Warty rs. 1 — Skałka z nad Telerowa rs. 1 — 7-letnia Marylcia H. rs. 2 — Słowik ze Zbrucza kop. 21 — Gwiazda z małej Rusi od swjej nauczycielki rs. 1 — Siekierka rs. 2 kop. 24 — Pliszka z nad Gopla słomkowy kapuś — Brzózka płacząca na kościół praski rs. 1.